

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 10go Numeru: „Czywita-Kastelana, powieść Michała Czajkowskiego. — Wzgląd historyczny na klechdy i gminne polskie piosnki najdawniejsze. W. A. Maciejowskiego. — Przegląd Humoresków Nowosielskiego. — Nowiny literackie z Poznania.

W Czywita-Kastelana.

Przez

Michała Czajkowskiego.

I.

Noc była ciemna, gwiazdy nie powschodziły, a księżyc blado świecił; blado, jak niepewny odblask srebrnej blachy, i na podgórzu nie znalazł chmurki, żeby nią od światła przysłonić lice, czemuś tak nie swoje, jak gdyby je tęsknota zasula, jak gdyby sromalo się knuciem jakiejś zdrady. — Wiatru ani slychać, z Apeninów poświętem nie dawał znaku życia, gdzieś się zadział, jakby zmarł na wieki. I stare dęby nie szemrały, i ptaszki nie grały pomrukiem — wszystko spało spokojnie — spało cicho. —

I w starym zamczysku podobnie było, ale w mieście to nie tak — tam naszli Gallowie chrześciance, na dziedzinę ojca chrześcianaństwa — w szale rozpasanej myśli, w szale rozpasane-

go czynu, u siebie pomietli prawem Bożem, i w swoje ludzkie prawo szli jarzmić namiestnika Bożego na tej tu ziemi. —

Patrycyusze w strachu biegli padać przed nimi na kolana, bo w nich dawno, dawno już przerodziła się krew Patrycyuszów Sylli i Pompejusza. —

Plebejusze wierzyli słowom równości i wolności, bo w nich jeszcze ta sama krew płynie, co w ludzie Grachów i Maryusza. Gallowie nie mieli z kim walczyć, i szli na Rzym, a szli leniwo. —

W starym zamku rzymska załoga była i Rzymianin nią dowodził. Rzymianin, który z rana i wieczora, jak Ojciec nasz Boży, odmawiał chępliwie słowa: —

Od pierwszych królów założycieli Rzymu, ani jedna kropla krwi plebejskiej, ani jedna kropla krwi obcej nie przymieszała się do mojego rodu. —

I czegoś nagle czoło zachmurzał i westchnieniem ból z serca zrywał, jak gdyby po pacierzu rozpamiętywał nad śmiertelnym grzechem? —

Bogu chwała, niemam syna, nie powiedzą: I ten młody, Patrycyusz z imienia, ma w swoich żyłach krew plebejską. —

I po tych codziennych rozmyślaniach, kiedy żona jeszcze piękna, jak lato życia, a wierna mu jak miecz dłoni Czeceńca, przychodziła go powitać dobrym dniem, albo pożegnać dobrą nocą.; kiedy córka, młodociana dziewica, śliczna, jakby wyszła z pod dłuta Michała Aniola, z pod pędzla Rafaela, przychodziła z uśmiechem uroku na twarzy, z odbryzgiem rozkosznej łezki w oku, prosić ojca o pieczętę; on je obydwie zimno, niechętnie oddalał od siebie, a w duszy głos szatański dumy mu szemrał: — Plebejki! —

Plebejką była jego żona, a co gorzej, nie rzymskiego szczepu, praprawnuczka jakiegoś tam barbarzyńcy, z hordy Gienseryka. —

Nie daleko Czywita - Kastelana w Neppi, do dziś dnia widać, jak śmieli jeźdźce na chartowatych koniach, podobni do bezpańskich Molodzców z nad Dniepru, albo do dawniej dzicy z za Perekopu, w czwał gonią dzikie tabuny po wodociągach, po świętych drogach dawnych Rzymian — a rozhulawszy się po dzikim stepie, pomiędzy Kalumbarya grobów burzanem porośłe jak ukraińskie mogiły; albo po dąbrowie z rzadka narzuconej rozsochatemi dębami, i pozbionej w jarugi takie, jak nad Bohem, jak nad Dnieprem; i myśl i oko uwodzą w uludę, że to Ukraina, że to nagajskie stepy. Ci ludzie w Neppi, to potomkowie tych, co z Genserykiem burzyli Rzymskie grody, co potem zamieszkali na rzymskiej ziemi. —

Z Neppi, z tego barbarzyńskiego szczepu była rodem małżonka rzymskiego Patrycyusza; za młodu, kiedy dusza kocha wszystko co piękne, to dobre, dopóki duch życia nie zmałał pod przesytem uczucia; miłość stłumiła dumę, ale kiedy lata zaczęły studzić ogień serca, jak zielsko, co się zimna nie lęka, głuszy przymrożone zboże, tak duma poczęła deptać miłość.

Niewiasta, w której duszy mieszały się zrazem namiętne uczucia wschodu, próżność i żądza

władzy zachodu, odgadła i myśl i troskę męża, ale cierpiała i znosiła. — On był jej kochankiem, ojcem jednego dziecięcia, Patrycyuszem godnym dawnego Rzymu.

Najście Gallów strachu nie wlało w jej serce, o nie! uśmiechnęła się krótko, tym uśmiechem, co to oznacza postanowienie — i oko jej zabłysnęło jakąś nieznaną radością, a potem wzięła za rękę córkę, jedyną powiernicę, i poszła z nią na mur od strony zachodniej baszty, gdzie tylko był jeden żołnierz na straży, i ten nieprzechadzał się mierzonym krokiem, czujnym okiem nie rzucał do koła, tylko ukląkł przy baszcie, ziarnka różańca liczył i pacierze odmawiał — a tak nim strach owionął, że błagał o to, aby mógł się wkamienić w basztę. —

Blado — blado księżycowe światło osunęło się i ze strachem z niechęcia przyglądało się tym ziemskim postaciom. Matka była w całym blasku krasy, namiętna twarzą, namiętna okiem, i żywiej i jasniej błyszczącym, jak sam księżyc; widać, jak tę swoją namiętność tchnęła w duszę córki — bo na twarz łękliwą dziewczycy wystąpił rumieniec, i ogień dumy wysuszył łzę z oka i rozjaśnił jego polysk. — Mówiły z sobą, a wiatr nie przyleciał je powitać, popieścić muśnięciem włosów, szelestem szaty — powietrze wysłuchiwało każdego słowa — taka była cisza.

II.

Była cisza, księżyc jak przed chwilką, tak i teraz blado ślaniał się po niebiosach. — Rzymskie koguty piał, jak niegdyś kapitoliańskie gęsi, budziły Rzymian na Gallów — na Gallów — ale już ani Manliusza, ani dawnych Rzymian nie było, a dzisiejsi wiedzieli o Gallach, a bynajmniej nie budzili się do broni — wszędzie był spokój. —

Tylko koło zachodniej baszty zwolna po murze zsunął się w przekop jakiś cień biały, czy to zamajaczało światło księżyca, czy oberwał się zeschły chwast z muru, i potoczył się z niego; drugi takiż cień biały; długo było widno na mu-

rze, pochylony ku przepokopowi, i ten po chwili zniknął, zsunął się za basztę — a żołnierz straży jeszcze nie dokończył, liczyć ziarnka różańca i szemrać pacierze. —

W komnacie dowódcy twierdzy, w starożytniej świecznicy płonie oliwa takim światłem, jakim płonęła za dawnego Rzymu, ale w łonie Patrycyusza nie takie serce bije, jak u dawnych Rzymian. — On nie spał, przechadzał się po miękkich kobiercach, poglądał na posągi Cezara, Scypiona, Koklesa; na popiersia Katona z Utyki, Brutusa, i niecierpliwiał się, czemu dzień nie nadchodzi; nie dla tego, aby prędzej mógł walczyć za Rzym, ale dla tego, aby biec do obozu Gallów z holdem poddania się. —

W drugiej komnacie spał młody Gall, wysłannik o to poddanie się — spał spokojnie bez najmniejszej obawy — nie tak on zawierzał słowu i dobrej wierze Rzymianina, jak ufał jego strachowi, i tej żądzy podlenia się zaraza przyległej do duszy Patrycyusza. —

Już marzył o bogactwach, jakimi mieli go osypać Gallowie, kiedy się drzwi otworzyły i weszła jego małżonka.

Pijana nadzieją, pijana wspomnieniami dawnego Rzymu, miała w sobie i groźną powagę matki Kamilla, i dziewicze poświęcenie się córki Trybuna Wirginiusza — gotowa była swe łono otworzyć żelazu, żeby Rzym zbawić; gotowa była stargać najukochańsze związki, żeby się stać taką, jakimi były niegdyś Rzymianki — i słowami, jakimi niegdyś Rzym budził Brutusa zaszemrała. —

Rzym w niebezpieczeństwie, ale ty nie śpisz mężu. —

Patrycyusz, co już się mniemał być Podestatem, albo Dogą, jakiej nowój Rzeczypospolitej; stanął, spojrzął jęj w oczy, nie słowami, ale myślą powiedział:

— Czego chce ta Plebejka?

Kiedy uczucie roznamiętni duszę niewiasty, o! wtenczas ona jasno czyta we wszystkich taj-

niach myśli ludzkiej, oka nie spuściła z męża, i jakby słyszała jego zapytanie, odpowiadała:

— Rzymu! — Rzymu! —

Duma, próżność, podłość Patrycyusza, ugięły się na chwilę przed wolą Plebejki.

— Rzymu! Rzymu! on nie zginie, nie mu się nie stanie. —

— Obcy panować będą w Forum Romanum, w Kapitołińskim gmachu, w samym Watykanie nawet. —

— I cóż my na to poradzimy? —

— Co? słuchaj! — z zanadru wydobyła sztylet i mignęła nim, jak błyskawicą — niech on odpowie poselstwu Galla — i okiem i sztyletem wskazała na komnatę, gdzie spał Gall — Między mojemi w Neppi znajdzie się drugi Scwola, o! znajdzie się, już oni o wszystkim muszą wiedzieć — ze świtem dnia tłumami tu przybiegą — zobaczysz, że ci potomkowie Gienseryka, jak umieli burzyć dawny Rzym, tak potrafią dzisiejszy ocalić. —

Uśmiech gorzki, zaprawny trwogą i pogardą przewinał się na twarzy Patrycyusza. —

— Szalona! — co ty gadasz? — oni Plebeje — darmo — darmo. —

Przystąpiła do męża, wzięła go za rękę, i w głosie jęj, było rzewne brzmienie prozby. —

— Bądź Manliuszem, bądź zbawcą Rzymu! —

— Przestań, tam Gall wszystko posłyszysz. —

Oddalał ją od siebie — prośba zdjęła ciężar, gniotący dumę; twarz przybrała na nowo twarzą, oschłą chępliwość, a serce nie zagorzało uczuciem dawnego Rzymu. — Małżonka jednak zbliżyła się do niego — i długo, długo w ucho mu szeptała; w końcu złożyła ręce jak do prozby, i padła przed nim na kolana. —

— Zmiłuj się, moje dziecko, nasze dziecko! —

Oczy Patrycyusza zaiskrzyły się gniewem, nie chciał być Manliuszem, a umiał być Neronem — nogą pchnął żonę Plebejkę. —

— Precz nikczemne, przekłete Plebejki, gińcie! —

W porywie gniewu stracił ręką świecznicę; światło zaćmiło się, zagasło — i było ciemno — a potem jęk — a potem była cisza. —

(Dokończenie będzie w 11tym Numerze.)

WZGLĄD HISTORYCZNY NA KLECHDY I GMINNE POLSKIE PIOSNKI NAJDAWNIEJSZE.

Przez *W. A. Maciejowskiego.* —

Pieśni gminne.

Oświata polskiego narodu ma postać ziemi, na której on mieszka: ma wiele podobieństwa do gruntu, składającego się z cząstek ilowych i piaszkowych, tak mocno pomieszanych ze sobą, iż nie można rozpoznać wcale, która do której przyczepiwszy się mocno, jedną utworzyła bryłę. Części, cząstki i cząsteczki cudzoziemskiej cywilizacji, spoiwszy się ściśle z zarodkami oświaty polskiej, utworzyły jeden ogrom jak najmocniej połączonych, a częstokroć sprzecznie, na pozor sklejonych ze sobą żywiołów; które dla tego, że nie odrazu, ale stopniowo przystawały do siebie, łatwo utworzyły jedno, wprawdzie niejędrne i niezbyt silne, ale na słabość, a nawet na długie i mocne choroby wytrzymałe ciało. To w ustawicznym zostając ruchu, starzeje się i odmładnia rychło, na gorsze i na lepsze przekształcając się i wykształcając łatwo, a nigdy pierwiastku swego nieodmieniając: jak różczka polnego chmielu, co pnąc się po spleklej lub wilgotnej roli, częścią w żółtawę, częścią w zielone przyodziewa się liście; jak kwiat pełnej Hortensyi, co podlewany rozmaitym płynem, w rozliczne stroi się barwy.

Szczególniej też w pieśniach gminnych spotrzegamy owe przemiany ustawiczne, i widzimy, jak jedne i też same piosnki z jednego powstawszy wątku, krążyły i krążą po wszystkich ziemiach dawniej i terazniejszej Polski, ukazując się pod różnemi postaciami. Z tych jedne

z pośród gminu wyszły, drugie na podobieństwo gminnych utworzone pieśni, gminnemi się stały przez to, że do pojęcia i smaku ludowi przypadły. Takimi są obrzędowe i historyczne pieśni, gadki, burleszki i niektóre piosnki do tańca, a mianowicie też krakowiaki, które częścią lechickiego, częścią chrobackiego pochodzenia będąc, zlały się z czasem w jeden śpiew polski. Bo temu nikt nie zaprzeczy, że z gadek, satyry i miłosnego śpiewu, bądź wesoło, bądź smutnie nuconego (ze sprzecznych więc żywiołów, jakimi są wesele i smutek), składa się owa piosnka, ulubiona niegdyś Chrobotom, która będąc dotąd w myśli i na języku ludom krainę Boików¹⁾ i krakowską zamieszkujących ziemię, daje się głównie słyszeć w kołomyjce i krakowiaku. Ta właśnie okoliczność, że krakowiak szczególniej przesiaduje nad Stryjem i blisko źródeł Wisły, a w inszych ziemiach polskich w gościnie tylko przebywa, dowodzi jego starożytną zażyłość w tych stronach, i stawia dowód na to, że ta piosnka do najdawniejszych chrobacko-lechickich należy, a reszta pieśni gminnych, nie noszących na sobie tego charakteru, jest lechicko-polskiego pochodzenia.

Napróżno pytalibyśmy się o to, które krakowiaki, z którego pochodzą czasu, żadnego bowiem śladu nie dostarczyły na to dzieje. Wszakże mamy ślad historyczności lechicko-polskich pieśni. Za nim idąc, możemy wykazać prawdziwość twierdzenia, któreśmy założyli wyżej, to jest, że pieśni gminne przeistaczając się przez wieki, nie doszły do nas w pierwotnej postaci, że nietylko inne wyrazy stroiły je niegdyś, ale nawet, że insze obrazy przedstawiały one przedtem, lubo treść ich była też sama, co i teraz. Na tę myśl naprowadziły mnie górno- i dolno-luzyckie pieśni, zebrane przez PP. Smolarza i Marka, które właśnie wychodzą na publiczny widok.

Przeoglądając je w roku 1839., zadziwiłem się wielce, gdym znalazł zupełnie podobne do polskich, a mianowicie: pieśń o Mikołaju

Staroście, u P. Wojcieckiego²); tudzież pieśni tejże samej treści o Mikołaju Kaniowskim i Młynarce³), znajduje się w zbiorze łużyckim w dwoistej odmianie. Górno-łużycka opiewa, jak jeden pan (Knez) za Drezdzanami (dzisiejsze Drezno), kazał się w skórzanym miechu zawieść do młyna; a dolno-łużyckie, jak młodszy królewic polski, dla pozyskania miłości pewnego furmana ładnej dziewczeczki, nazwiskiem Kasi, przebrany po żeńsku, zawitał do jej komnaty. Insza pieśń górno-łużycka śpiewająca: jak król polski pojechawszy na wojnę, zostawił w domu pacholka, ażeby miał na oku młodą jego małżonkę, odpowiada pieśniom polskim⁴) nuconym o miłostkach P. Starościej, wyszpiewgowanych przez umyślnie na to usadzone pachole. Insza nakoniec jest pieśń dolno-łużycka, którą rozmacie nucono w Polsce w XVI. i XVII. wieku, a bez wątpienia śpiewano ją i dawniej w różnych przeistoczeniach⁵). Łużyczanie opiewali smutny wypadek pewnego rycerza, który go spotkał za Dunajem o cztery mile za Morawą. Polegl on w boju, a jego towarzysze broni, przywiódszy do domu rumaka osierociałego po jeźdźcu, opowiadali dopytującej się o rycerza rodzinie: jak główka jego leży na kamyczku, wsparta białą rączką, złotym ozdobioną pierścieniem, i jak przez ten pierścień woda przebiega. W Polsce w dwoistém przeistoczeniu pieśń tę śpiewano; o rycerzu w czystém polu, leżącym na kamieniu, i o złotym pierścioneczku, płynącym po bystrym Dunaju⁶). Są prócz tego w zbiorach tych inaksze jeszcze pieśni, odnoszące się do Polski. Górno-łużycka jedna opiewając: jak pewny pan młody z Miszna (Misnija), grając z polskim królem w kostki, przegrał kubel pomiędzy i rynsztunki wojenne, przypomina żale rozwodzone w statucie mało-polskim⁷) nad tem, że lekkomyślni ludzie konie i inny sprzęt wojenny przegrywają marnie. Druga, także górno-łużycka, pociesznie śpiewa o królu polskim, który przebrawszy się za żebraka, poszedł do cesarza, prosić go o rękę córki.

Gdy po odpadnieniu od Polski łużyckich i miśnijskich krajów (za Mieczysława gnuśnego), tudzież po oddaniu Szlązka na udział synom wypędzonego z kraju Władysła II., wszelkie stósunki ustaly pomiędzy Łużyczanami a Polakami, a mimo to śpiewywał gmin tameczny o Polsce, nuąc podobne piosnki, jakie i my w przeistoczonej mieliśmy postaci i mamy je dotąd; widać ztąd, że owe łużyckie pieśni musiały już istnieć w tych czasach, kiedy nas z krajami tamtejszemi blizkie jeszcze łączyły stósunki. Bo przypuścić nie podobna, ażeby dopiero później, w XIII. naprzykład lub XIV. wieku, albo jeszcze później, z Polski do Łużyczan lub od Łużyczan do Polaków piosnki te przeszedłszy, upowszechnily się pomiędzy gminem. Ztąd wypływają dwa wnioski, powagą dziejów wsparte: jeden dowodzący istnienia naszych pieśni historycznych, w najdawniejszych już czasach; drugi przekonujący o tem, że jak cała oświata nasza jest ciąglem przeistaczaniem się wyobrażeń przechodzących skrycie przez różne wieki, tak i gminne pieśni nasze są ciąglem pasmem różnie opiewanych zdarzeń, najczęściej jeden przedmiot, ale w różnych odmianach opowiadających. Miłosne zdarzenie, które pomiędzy młynareczką, a możnym łużyckim panem zaszło, przyczepiono już to do ładnej dziewczeczki furmana, kochanej od królewica, już to do Starosty Kaniowskiego, i tak z X. wieku, lub wcześniej jeszcze, sięgnięto do wieku XVIII. Gdy przyszło śpiewać o wiarolomstwie małżonek, lub o rycerzach poległych w boju, znowu występował na scenę albo król Polski, albo możny Starosta, albo przypominano sobie dawne stósunki ze Słowianami zakarpackimi, a rzeka Dunaj wila się po myśli wiejskiego piewcy.

Przenikliwém okiem charakter i sposób myślenia gminu polskiego rozważywszy, można wyrzec, co za piosnki są istotnie narodowe; a skrętnie bałając dzieje, łatwo będzie odgadnąć, co za piosnki historyczne śpiewał nasz lud w różnych czasach. To dopiero, tudzież zapatrywa-

nie się na podobneż piosnki u inszych słowiańskich ludów, da odgadnąć, jakie pieśni są istotnie dawne i prawdziwie narodowe, a które późniejsze i podrzucone. Nakoniec, które piosnki późniejsi śpiewacy w prawdziwie narodowym utworzyli kroju, a które uklećili z duchem gminności polskiej niezgodnie, licząc częstokroć na karb ludu brudy i wszeteczeństwa, o których się jemu ani śniło nucić.

Gdy poezya gminna zawsze ulegała przeistoczeniom, gdy dla tej przyczyny wątek jej utracił historyczną zasadę, przystając do nowszych i coraz nowiej wydarzających się zdarzeń, i oprócz odgłosu narodowych uczuć nie miewał w sobie nic dawnego, przeto, ani dla języka, ani dla dziejów, nie może ona dostarczać zasobów pewnych, a przynajmniej takich, któreby za pomnik historyczny uważać można bezpiecznie: wyjąwszy jedną lub drugą piosnkę, z tego lub owego wieku pochodzącą niewątpliwie. Dla tego też pobłądził wielce Zoryan Chodakowski, gdy na pieśniach gminnych budował starożytną jeografią słowiańskich ludów, wywodził z nich nazwy znaków niebieskich, a nawet niemal całą heraldykę polską. Dla tego błądzi teraz P. Waclaw z Oleska⁸⁾, gdy mniema: że pieśni ludu są wielce pożyteczne do historyi, mającej wystawić życie narodu w jego organicznym zawiązaniu, rozwinięciu i ukształceniu. Bo i owszem w pieśni te wlać potrzeba dzieje, chcąc je przywieść w harmonię z historyą narodu, ażeby je jakośkolwiek użytecznymi i przydatnymi dla naukowych uczynić wniosków.

Jest w pieśniach ludu pełno klehdowych marzeń i poganstwem trącających zabobonów, pełno ducha religijnego i poważania dla starszyny, pełno utyskiwań i żalu nad lekkomyślnością niewiast i srogim obchodzeniem się z sierotą: a wszystko oddane jest w mowie właściwej gminowi, która przekąsem i satyrą, a niekiedy błażnistwem trąci. Pod względem krasoumu uważana ta poezya, odznacza się smętnością, i jest cała, jakoby elegią, nie będąc wymuskana jak grecka, ani

sentymentalna i filozofią nastrzępiona, jak niemiecka i angielska, ale jest tęschliwą, czegoś lepszego nad to, co dotąd istnieje pożądlivą, nie omdlewającą ani rozplywającą się w czułości przesadzonej, nie goniącą za urojonem jakimś szczęściem, ale wzdychającą do lepszosci i pragnącą tego jedynie, ażeby to, co teraz jest, było lepsze i szlachetniejsze, ucywilizowawszy lud i dolę jego poprawiwszy. Ulubionym wykrzyknikiem Hej! Polak podobnie, jak i każdy Słowianin zaczynał rozwodzić swe żale, dobierał porównań z gadek, a słów pożyczal z szydebných piosnek (burleszków); wszystko zaś zmieszawszy razem, odśpiewywał krakowiaka, który, jak słusznie uważa P. Waclaw z Oleska, był jedyną nazwiska tego prawdziwie godną poezją naszego ludu, i jedynym rezultatem jego poetycznego usposobienia. Chłop polski, niższy w inszych rodzajach poezyi gminnej od Rusina i Serba, a tem więcej od Czecha, teschliwemi, miłosnemi górował krakowiakami, celując tem, co było wypływem najszlachetniejszym jego jestestwa. Nowsza cywilizacya przybywając od zachodu, zwicnęła naszemu ludowi obrzędowe pieśni; w politycznym życiu narodu, udziału nie miał polski wieśniak; dwory gardzące gminnymi piosnkami, nie uszlachetniły jego poezyi, sam nie był o tyle oświecony, ażeby na dłuższą notę mógł rozkładać swe pienia i więcej utworzyć takich, które w małych ułamkach doszły do nas⁹⁾: dla tego też ani tak czułych a przydłuższych pieśni, jakie mają Rusini, nie posiadamy, ani historyczne nasze pienia, nie mogą sprostać rycerskim Serba i Czecha dumom. Ale mieliśmy i mamy zaród do wielkiej poezyi rodzinnej, w tej mierze bynajmniej reszcie Słowian nieustępując. Z niej to nasi wieszczowie wskrzeszą kiedyś wielką poezją narodową, na podziw całej Słowiańszczyzny, z gburowatych piosnek gminnych, cudne stworzywszy pienia. Tak Grecy z pośród gminu biorąc wątek do epicznych pieni, i narodowość swoje w poezyi przybierając szatę, zanucili piosnkę, której do-

tań z zadumaniem, głębokiem uczuciem i rozrzewnieniem, przysłuchują się najoświecenijsze narody.

- 1) Moje Pamiętniki I. strona 65.
- 2) Pod napisem „wór“ I. str. 60.
- 3) u P. Zegoty Pauli w pieśniach ludu polskiego w Galicyi str. 71.
- 4) u Pana Wojcickiego I. str. 67. pod napisem „winna“, u P. Zegoty Pauli tamże str. 100.
- 5) u P. Zegoty Pauli tamże str. 67. i następ. u Pana Wacława z Oleska str. 72. następ.
- 6) u P. Zegoty Pauli str. 60.
- 7) W. Bandkiego jus polonic. str. 90.
- 8) w przedmowie do pieśni swojego zbioru.
- 9) mowa rumaka osieroczonego po zabitym rycerzu, żale utonionego rycerza, płacz konika źle niosącego nowiny, u P. Wacława z Oleska str. 73. u P. Zegoty Pauli pieśni ludu polskiego str. 96. 113.

PRZEGLĄD

Humoreski przez Teofila Nowosielskiego, o których donosił nasz Korrespondent z Warszawy w Numerze 8. Orędownika, wyszły już z druku. Ponieważ Literatura nasza jest w pisma tego rodzaju dosyć uboga, przytaczamy tu dla próby następujący wyjątek, aby czytelnicy sami o humorze autora sąd wydać mogli. Naszem zdaniem sytuacje są po większej części szczęśliwie obierane, niektóre nawet z ręcznie skreślone; ale główną zaletą pisma tego rodzaju, powinien być bystry dowcip, niewyczerpany humor, kraszący jałowość powszechnej strawy wrodzonym talentem, upatrywania wszędzie śmieszności ludzkich. Taką żyłkę jowialną miał Zolkowski, a na niej właśnie zbywa, jak nam się zdaje, autorowi Humoresków, choć jego obrazy daleko są wyższe od płaskich częstokroć bufonad Zolkowskiego, któremu wyższego wykształcenia brakowało. Zresztą sam autor wyznaje, że naśladował obce, francuzkie i niemieckie wzory, wartość więc jego kopij, odpowiada wartości oryginałów. Język jest czysty, w niektórych nawet dobitny, ale jak się powiedziało, nie zaprawiony ową solą attycką, główną zaletą satyry stanowiącą.

W końcu dodajemy tu jeszcze tę uwagę, że pismo tego rodzaju może się tylko zrodzić w stolicy, gdzie publiczność do lekkomyślnej wesołości skłonniejsza, niż do melancholijnego rozmyślenia, cheiwie ubiega się za chwilową zabawą, zapominając o wczoraj i o jutrze.

Wybrałiśmy jedną z najlepszych Humoresków, która się większej liczbie naszych czytelników podobać będzie:

Pan Zalotnicki, czyli mężczyzna kobieta.

Kobiety mają kaprysy, to prawda. O to uskarżał się już Adam na Ewę, a od tego czasu uskarżają się wszyscy mężowie na swoje Ewy. Ale czyż i my mężczyźni kaprysów nie mamy? Nie inaczej. Ta tylko zachodzi różnica, że kaprys u kobiet jest wdziękiem, u mężczyzny dziwactwem. Kobiety używają kaprysów, aby dodać słodyczy swoim pieczętom. Kaprysy u kobiety są tem, czem gorczyzka w serze, czem kwasek cytrynowy w potrawie, czem musztarda do sztuki mięsa, czem humor w piśmie; jestto coś ostrego, co nie szczypie, nie gryzie, a co jednak lepszego smaku dodaje, jestto coś, co Francuzi nazywają piquant. Jeżeli kobiety kokietują kaprysami, łatwo usprawiedliwić to można; lecz cóż pomyśleć o mężczyznach, którzy z siebie robią kobiety? Podobnych mężkich kobiet naliczyliby można legiony. Dziś młodzież kokietuje, ludzie dojrzały kokietują, a nawet i starzy kokietują.

Rozkład dziennych czynności męskiej kobiety jest nader ciekawy: Mężczyzna-kobieta wstając około dziewiątej zrana, przecierając oczy, woła niedbale: Janie, hej! Przybiega Jan z raportem, jaka na dworze pogoda, czy frakowa, czy surdutowa. Po tem meteorologicznem sprawozdaniu, przypuszcza pan sługę do wielkiej narady w sztuce toaletowej. Tu nagle wynurza się z puchów mężczyzna z nazwiska, kobieta *de facto*, zdejmując czepek i odwija papiloty; potem przegadując się jeszcze w łóżku w ręcznym lusterku, pyta Janą o dzieńne nowiny. Narzeczcie mężczyzna kobieta wstaje z łóżka, aby w wielkiem zwierciadle powitać rozkosznym uśmiechem cały swój zachwycający obraz. Po tej ważnej czynności przybywa kawa, którą p. Zalotnicki pije rozparty na sofie, w lubym nieładzie i przegląda gazety francuzkie; potem wyciera fularową chustką swoje pierścienie z brylantami, których jeszcze nikt oprócz niego za prawdziwe nie uznał. Po tej operacji mężczyzna-kobieta nakręca swój cylinder, przyrządza lorynetkę, prostuje swoją pogiętą złotą śpilkę, a ułożywszy te błyskotki na toalecie, zbiera karmelki porozrzucane po stole, układa i porządkuje na stole bilety wizytowe, zapraszające i teatralne; potem z przyjemnym wdziękiem i zaniedbaniem zarzuca fularową chustkę na szyję, otwiera okno i przedstawia swą postać w rozkosznym negliżu wszystkim przechodniom, sąsiadom, a szczególnie swojemu *vis-à-vis* ku podziwieniu. Wtem bije godzina jedenasta, mającą zmienić tę poczwarkę w cndnego motyla. Już doświadczona artystowska ręka sługi, ukończyła ważną sprawę ułożenia głowy pańskiej. Każdy włosek misternie utrefiony, stanie się odtąd prawdziwą matnią dla sere kobiecych; każdy loczek będzie warowną strzelnicą dla figlarnego bożka miłości. Po zbudowaniu niedobytego chińskiego muru na głowie, następuje nierównie trudniejsza sztuka zawiązania na szyi gordyjskich węzłów: są to hiroglify miłości! Tysiąc śmiałych pomysłów odrzuca

parlament p. Zalotnickiego w utrefionej *à la Paris* głowie. Po tysiąc razy odrzuca bil w tak ważnym przedmiocie zawiązania misternego na szyi węzła; po drugie tysiąc razy przedstawi niewyczerpany Jan, jak drugi Pitt, mistrzowskie plany do rozmaitych węzłków. Naprawdę! bo mężka kobieta odrzuca bil po bilu, gotowa jednym zamachem parlament cały rozwiązać. Wtem zabłysła wielka myśl w utrefionej głowie p. Zalotnickiego! — zbliża się wielka reforma zawiązywania chustki. Jeszcze wprawdzie niewyraźnie, jeszcze mgławo przedziera się światło genialnego pomysłu. Lecz czegoż władza geniuszu nie dopnie! Siłą czarodziejską rośnie i rośnie z pod rąk mistrzowskich wielkie arcydzieło, zdumiewające — węzeł na szyi. W porównaniu tego arcydzieła mężkiej kobiety, niczem są sztuczne wiszące ogrody Semiramidy, niczem hieroglify egipskie, niczem wielka świątynia Salomona, tak sztucznie zbudowana z cyprysowego drzewa Libanu — wszystko to partactwo obok napiętrzonego węzła pana Zalotnickiego. Z dumą ten węzeł dziewiętnastego wieku spogląda na wszystkie węzły gordyjskie wieków starożytnych.

Już tylko brankie jeszcze kamizelki do ukończenia toalety i kilku błyskotek. Tu wydobywa Jan kamizelki jedną po drugiej. Jak kuglarz Bosko z pod kubków coraz to inne wyrzuca gałki, tak Jan coraz to inne znosi kamizelki. Daremnie! żadna z nich nie odpowiada symetrycznemu węzłowi chustki na szyi.

Tylko szukaj Janie wielki,
Jeszcze innej kamizelki!

Znalazł Kolumb pożądaną Amerykę, znalazł nareszcie i nasz bohater pożądaną kamizelkę. Zajaśniał słodki uśmiech na licach mężkiej kobiety. Teraz pan Zalotnicki frak przymierza, palce ubiera w pierścienie, a przeglądając się co chwila w zwierciadle z lubem zadowolnieniem, w sobie zakochany, zawiesza na szyi złoty łańcuch. Najprzód przeciąga go przez dziurkę u kamizelki, lecz jeszcze złoto nie dobrze widać; przeciąga go więc przez drugą dziurkę od guzika; ale jak na nieszczęście łańcuch nie spada jeszcze dość okazałe w lekkich festonach. Azatem jeszcze raz przeciąga łańcuch przez dziurkę i zahacza na guziczku ze szklannym brylantem w półkoszulku. Po tej trudnej operacyi, robi p. Zalotnicki przed lustrem parę lekkich piruetów i staje na jednej nodze jak drugi *Vestris*. Na dokończenie toalety, nadyma parę świeżuchnych

białych rękawiczek i staje nareszcie na pierwszym kamieniu bruku, jak nimfa na kryształowej fali. Wstrzymaj krok, niebaczny! Pan Zalotnicki strwożył się — biedny — zapomniał kołnierz u fraka nakropić różnym olejkiem. Namaszczenie odbyło się. — Nowe nieszczęście, zapomniał lornetki. Staje przed domem — i znowu wraca, bo zapomniał wizytowych z herbem biletów. Szukając ich, zostawił na stole jedną rękawiczkę, ale po nią już nie wraca — bo pan Zalotnicki zawsze nosi dwie pary rękawiczek na zapas. Szczęśliwy wylatuje motyl w świat szeroki etc. —

NOWINY LITERACKIE.

Z Poznania.

P. Michał *Czajkowski* napisał nowy, obyczajowy *Romans*, pod tytułem *Anna*, który wydaje w Poznaniu Redakcyja Orędownika w dwóch sporych Tomach w 8ce, tej obszerności co *Kirdżali*. Przed ukończeniem druku, będą z niej wyjątki w tem piśmie.

Już także zawitaly tu do Poznania *Gawędy i Obrazy* K. Wł. *Wojcickiego*, wydane u Sennewalda w czterech Tomach ozdobnie drukowanych z wielu rycinami i widokiem dawnej Warszawy, i o nich w następujących Numerach słów kilka.

Zycia Napoleona podług najlepszych źródeł z rycinami na stali rytemi z oryginalnych obrazów malarzy francuzkich, wyszedł w Warszawie poszyt 7my i 8my.

Nakładem księgarni Józefa Wenedykta wyszło tego roku dziełko pod tytułem: *Bajki Mazurskie i poezye* p. I. N. *Gątkowskiego*.

Wyszedł z druku za granicą *Zywoł Tomasza Ostrowskiego* Tom 2gi, zawierający opis Księstwa Warszawskiego.

Orędownika wychodzi arkusz co tydzień. Prenumeratę kwartalną od 1go Października do 31go Grudnia r. b. to jest na 13 numerów wynoszącą Złotych pol. 4½, przyjmują królewskie pocztamty, księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i drukarnia w Poznaniu na Garbarach No. 45., gdzie się Orędownik wydaje.

Redakcyja Orędownika: *A. Poplinski. J. Łukaszevicz.*